

PRZEZ 35 LAT - Z LOTNICTWEM



Fot. L. Zielaskowski

Wszystkie koleiny w błotnej ziemi, wyrzeźbione kołami turmalinowymi i niekiedy pojazdami mechanicznymi, prowadziły do pobliskiej stacji kolejowej lasu. Tam pokaleczona wykopami ziemia i świeże zwały dużych buków. Przyjeżdżający z determinacją zakasywał nogawkę spodni i zaczął szukać dyrekcji Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego. Gdy mu zaczęło dopisnąć, bez psychologicznej asysty, lekarza, szkoleń i kursów, po godzinie otrzymywał robotę. I był zasłużony... Po fajrancie brał do rąk, udającego hotel, butelkę i marzenia. Po nim przychodzili następni. I odchodzili. Pozostawali wzdłuż. Wśród nich i tacy co do dziś uważają, że żywiołem człowieka niekoniecznie musi być cięma. Był rok 1951. Świdnik.

Spróbujcie dziś przekonać tę młodą świdnicką młodzież, pędzącą w amantowo-błękitnych „mudurkach” na dyskoteke, że nie było tu kiedyś ulic, domów, szkół, sklepów. Że nie było kawiarni, kin, dyskotek. Nie uwierz, dla nich to miasto jest „od zawsze”. I mają do tego prawo. Świadomość przeszłych realiów nie jest cechą młodości. Iu z rodziców zadbało by tę ciekawą swą osobistą historię podzielić wśród najbliższych? Pewnie wielu, ale wspomnieniami trudno żyć. Jest rok 1986. Też Świdnik.

Gdy los lub konieczność daje jedną szansę zrobienia czegoś, co da satysfakcję, zmieni życie, wyzłocę barwniejszą i lżejszą przyszłość jest jeszcze sztuką umieć z niej skorzystać. Ludzie, którzy podjęli się trzydziści pięć lat temu, dzieła stworzenia w podlubińskiej wsi liczącego się ośrodka przemysłu lotniczego, zrobili to w przekonaniu, że to umiejętność po niedli. Nie odrzucając możliwości improwizacji konsekwentnie, zgodnie z potrzebami i swoim zawołanym sumieniem dążyli do celu. Zmienił ich następny, powiększył się fabryczna rodzina, rostała umiejętność. W przełomowych momentach, gdy przyszło dopinać „metki” do pierwszych i kolejnych wyrobów — śmigłowców SM 1,

SM 2, Mi 2, szybowców, motocykli, zespołów odrzutowych olbrzymów — nie zastanawiali się pewnie nad produkcyjną, techniczną, społeczną a nawet polityczną wymową tych faktów. Ot po prostu, robili swoje. I dziś też. Gdy „Sokół” szybuje nad Świdnikiem, pewnie rzadko kto „zadrze” głowę do góry i pomyśli o tym locie jako efekcie trudnego do zmierzania wysiłku ludzi, którzy wzięli przez minione 35 lat swój los z tą fabryką. A jej rozwój i efekty działalności można mierzyć w sztukach wyrobów, we wskaźnikach bliskich ekonomistom, nowymi konstrukcjami i technologiami, rosnącymi kwalifikacjami załogi i wzrostem jej zamożności — wszystkie te metody mają swoją wartość i przez wymierność są prawdziwe. Pozostawmy to jednak statystykom i planistom. Głęboki, choć w efektach trudny do zmierzania, sens owego trzydziestoletniego to również znaczenie przyspieszonej cywilizacyjnej awans Świdnika i jego okolic, ogromny wkład w uprzemysłowienie regionu i szerzenie kultury technicznej. Zresztą, zapytajcie o prawdziwość tych słów ludzi co byli tu od początku!

Jeśli nie żałują, że zostali a ich następcy mogą znów odkrywać potrzebę tworzenia — bilans jest korzystny. Chodzi teraz o to, by nic z niego nie uронić, następne lata wypełniać tak samo cennymi dokonaniem.

Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Świdnik”. Jedyny w kraju producent śmigłowców, posiadający w ramach RWPG specjalizację na śmigłowce lekkie. Produkowane tu były też szybowce, motocykle, samochody chłodnicze i zespoły dla przemysłu motoryzacyjnego. Aktualnie w WSK wytwarzane są elementy usterzenia do samolotu pasażerskiego Ił 86. Kuźnia WSK wykonuje na potrzeby przemysłu odkuwki z metalu kolorowych. Działający przy Wytwórni Zakład Usług Śmigłowcowych świadczy prace na rzecz rolnictwa, jego działalność jest też przedmiotem eksportu. Nowoczesna baza szkoleniowa gwarantuje odpowiednio kwalifikacje załogi i daje możliwość eksportu usług szkoleniowych. Nowoczesny, stale modernizowany park maszynowy zapewnia wysoką jakość produkcji i odpowiada jej złożoności. W najbliższych latach Wytwórnia uruchomi produkcję seryjną nowych śmigłowców polskiej (w większości własnej) konstrukcji. Zakład realizuje szeroki program socjalny dla pracowników i ich rodzin.

sierpień, 1986.

Z NACZELNIKIEM MIASTA

O WYTWÓRNI

STANISŁAW KUCHARUK:
Tory nie dzielą!

● Panie naczelniku, jubileusz Wytwórni stwarza okazję do rozmowy o trwałości związku w jakim od 35 lat, pozostają Wytwórnia i robotnicze osiedle — dziś nowoczesne miasto. Zaczęć wypada od początku...

— Miasto czerpie z Wytwórni swój rozwój. Zawdzięcza jej wszystko. To zobowiązuję.

● Od kilkunastu lat styka się pan codziennie z mieszkańcami miasta. Czy różnią się ci zatrudnieni w WSK od pozostałych? — Nie uznajemy ani nie prowadzimy takiego podziału. Robimy wszystko aby każdy interesant był jednakowo uprzejmie i właściwie traktowany. Nikt — wychodząc od nas — nie może nie wiedzieć dlaczego został zatrudniony odnownie.

● Wobec tego postawię pytanie inaczej. Czy świdniccy obywatele są dla władzy — reprezentowanej przez Urząd Miejski — nazwijmy to, kłopotliwi?

(Dokończenie na str. 2)

- UROCZYSTA AKADEMIA
- FESTYN SPORTOWO-REKREACYJNY
- POKAZY LOTNICZE
- KIERMASZ HANDLOWY I WYSTAWOWY
- WYSTĘPY ARTYSTYCZNE

35 LAT WSK „PZL-ŚWIDNIK“

SOBOTA I NIEDZIELA
pod znakiem imprez

Na ostatnie dni sierpnia przypadnie kulminacja trwających od paru miesięcy imprez związanych z obchodami 35-lecia WSK. W sobotę, 30 sierpnia o godz. 17.00 odbędzie się w hali sportowej uroczysta akademia związana z jubileuszem zakładu i Dniem Lotnictwa. Spotkają się na niej reprezentacja załogi, na czele z jej kierownictwem, przedstawiciele władz polityczno-administracyjnych, resortowych, przedsiębiorstw i instytucji. Przewidy-

wane jest wystąpienie dyrektora naczelnego Wytwórni i uhonorowanie zasłużonych pracowników odznaczeniami państwowymi, resortowymi, regionalnymi i zakładowymi. W części artystycznej wystąpi Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej.

W niedzielę, 31 bm. o godz. 10 na stadionie FKS Avia rozpocznie się festyn sportowo-rekreacyjny załogi, adresowany też do mieszkańców Świdnika i okolic. Oprócz zmagania reprezentacji pio-

DUŻO ZA NAMI,
DUŻO PRZED NAMI

Historia Organizacji Partyjnej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego jest nierozdzielnie związana z 35-letnimi dziejami samej Wytwórni.

PZPR od początku istnienia WSK była siłą motoryczną wszelkich inicjatyw i działań, które miały istotny wpływ na sytuację gospodarczą, a także społeczno-polityczną zakładu i powstającego przy nim osiedla, które następnie przeobraziło się w nowoczesne miasto.

Założki partii sięgają początkowego okresu budowy fabryki. Wówczas nie było jednolitej organizacji, a tylko grupy PZPR, działające w przedsiębiorstwach budowlanych, montażowych, pomocniczych. Pracę grup koordynował Lubelski Komitet Wojewódzki.

Za datę narodzin organizacji partyjnej związanej z samą Wytwórną można uważać 18 grudnia 1951 roku. Właśnie w tym dniu w niespełna rok po formalnym powołaniu WSK, w hali nr 2 zorganizowano zebranie wyborcze POP, rozpoczynając spójną, partyjną pracę w fabryce.

Przypomnę krótko ten historyczny dzień: na 70 członków ówczesnie należących do PZPR w zebraniu wzięło udział 67. W skład pierwszej egzekutywy wybrano 5-ciu towarzyszy. Funkcję pierwszego sekretarza powierzając tow. W. BORKOWI.

Autorytet i stan liczebny zakładowej organizacji rósł wraz z rozwojem przedsiębiorstwa.

PZPR była zawsze tam, gdzie działo się coś nowego, gdzie trzeba było o nowoczesne zabiegać, gdzie należało lepszemu torować drogę.

Dokonując oceny minionych 35 (Dokończenie na str. 2)

GŁOS
ŚWIDNIKA

TYGODNIK ZAŁOGI WSK „PZL-ŚWIDNIK“

Nr 32/33 (812/813)

28 sierpnia 1986 r.

Cena 5 zł



Z okazji jubileuszu 35-lecia Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Świdnik” w Mennicy Państwowej w Warszawie został wybity okolicznościowy medal upamiętniający też rocznicę. Medal — wg projektu Józefa Wrońskiego — zawiera na awersie sylwetkę patrona przedsiębiorstwa Zygmunta Puławskiego, zaś na rewersie kompozycję elementów rocznicowych ze znakiem firmowym PZL.

nów, które dostarczą zapewne nie tylko „sportowych” emocji, na stadionie będzie można obejrzeć występy znanej kapeli podwórkowej z Krasnogostawu oraz spróbować szczęścia w konkursach i na... kiermaszu handlowym. To wszystko będzie niejako przedsmakiem emocji, których poczynając od godziny 14.00 dostarczą piloci i skoczkiwie spadochronowi. Pokazy lotnicze na fabrycznym lotnisku mają trwać do 16.30 a w ich programie przegląd sprzętu lotniczego poczynając od szybowców a kończąc na szybkim SU 20. Po raz pierwszy w pokazach zaprezentowane zostaną nawet balony. Oczywiście największą atrakcją pokazów, jak zawsze, będzie prezentowana wirtuozeria pilotażu.

Wierząc w znakomitą pogodę tego dnia zapraszamy w imieniu dyrekcji Wytwórni i Aeroklubu Robotniczego w Świdniku do wzięcia udziału we wszystkich imprezach. Wstęp na nie jest oczywiście bezpłatny.



PRACOWAŁA CAŁA ORGANIZACJA PARTYJNA

Zbliżający się jubileusz 35-lecia WSK skłonił nas do przypomnienia i przypomnienia pracy zakładowej organizacji partyjnej w okresie powstawania Wytwórni.

Do redakcyjnej dyskusji zaprosiliśmy trzech szczególnie zasłużonych ludzi dla partii i zakładu: **Benedykta Ingłota** — wieloletniego sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR, **Leonę Nazarukę** — pierwszego przewodniczącego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Świdniku, działacza partyjnego i młodzieżowego oraz **Romana Mańko** — działacza partyjnego i młodzieżowego.

Red.: Szanowni towarzysze, mieliście okazję uczestniczyć w pracy partii, pracować dla partii w okresie szczególnym. U progu lat 50-tych zakład dopiero się tworzył. Należało uruchomić zakład, produkcję i to bardzo ważną dla gospodarki narodowej, postarać się o maszyny, urządzenia, materiały, wreszcie o fachowców, których trzeba było sprowadzać z całego kraju. Jak w tak trudnym i pracowitym okresie doszło do utworzenia zakładowej organizacji partyjnej?

Benedykt Ingłot: W całkiem zwykły sposób. Do WSK napływali ludzie z całej Polski, a wśród nich byli także członkowie partii. Ludzie ci po prostu się zorganizowali i utworzyli Podstawową Organizację Partyjną przy WSK. Taka początkowo była nazwa. Sekretarzem POP był wtedy tow. Borek. Następnie, ale to już na początku 1952 roku Komitet Centralny skierował do nas partorga KC, towarzysza **Jerzego Śwata**. I w zasadzie ten człowiek przyczynił się do rozbudowy partii. W czasie jego pobytu w zakładzie powstał Komitet Zakładowy PZPR.

Leon Nazaruk: W tym czasie tworzyły się już Oddziałowe Organizacje Partyjne. Na stolarni gdzie wtedy pracowałem, w 1952 roku było chyba trzech członków partii. Natomiast w zakła-

dzie było około 180 towarzyszy. A w WSK pracowało wówczas 1500 osób.

Red.: Kim byli ci ludzie, których skupiała POP?

B. Ingłot: Byli to przede wszystkim młodzi robotnicy przychodzący do nas do pracy, a także inżynierowie i technicy.

Red.: Kto położył szczególne zadanie pod tworzenie się partii w zakładzie? Kto tworzył jej zręby?

B. Ingłot: Trudno wymienić nazwiska wszystkich ludzi, ponieważ był to dosyć liczny aktyw partyjny. W tamtym okresie nasza organizacja partyjna była jedną z najmocniejszych organizacji w województwie.

Red.: W czym to się przejawiało?

B. Ingłot: W działalności społecznej, czynach społecznych na cele produkcyjne, społeczne, sportowe. W zaangażowaniu w pracę zawodową i partyjną. W tym przejawiała się nasza siła.

Roman Mańko: W latach 50-tych nasza działalność widoczna była także na zewnątrz. Wspomagaliśmy pracę instancji powiatowej w terenie. W tamtych latach były organizowane wyjazdy aktywu partyjnego w teren, w okresie wyborów do Sejmu i rad narodowych. Osobiście też parę tygodni spędziłem przy takiej pracy. Organizowaliśmy spotkania z mieszkańcami wsi na temat programu wyborczego, pomagali-

śmy przy organizowaniu komisji wyborczych, pełniliśmy dyżury w lokalach wyborczych, czuwaliśmy nad prawidłowym przebiegiem wyborów. To należało do obowiązków zakładowej organizacji partyjnej. W WSK tworzyła się młoda klasa robotnicza, aktyw partyjny, z którego należało korzystać. Taka była potrzeba. Członkowie partii dostawali wtedy konkretne zadania, z których byli dokładnie rozliczani. To znaczy z działalności w zakładzie, mieście i poza miastem.

L. Nazaruk: Ja także wyjeżdżałem bardzo często do państwowych gospodarstw rolnych i innych zakładów pracy. Około 3 miesiące byłem w Miłosnie, gdzie mieliśmy udrożnić stosunki pomiędzy załogą PGR i dyrekcją. Po naszej wizycie poprawiła się partyjna rzetelność i w ogóle stosunek ludzi do pracy.

Red.: Jak w tamtych latach wyglądała praca Komitetu Zakładowego?

B. Ingłot: Komitet pracował podobnie jak dzisiaj. Przydział zadania członkom partii i na bieżąco ich z tego rozliczał. To była jedna z zasadniczych form pracy KZ. Mobilizował też członków partii, a przez nich całą załogę do wykonania zadań produkcyjnych i innych prac.

L. Nazaruk: Trudno rozgraniczać Komitet od członków partii. Pracowała cała organizacja partyjna. Pamiętam jak uruchamialiśmy projektami Miga, to znaczy skrzydła i usterzenie. Roboty było bardzo dużo i trzeba było ją wykonać natychmiast. Grupowo partyjnym był wtedy na stolarni **Zbigniew Wiśniewski**, który tak potrafił zmobilizować nas do pracy, nie tylko członków partii, ale całą załogę, że wszyscy bez wyjątku całymi tygodniami zostawali w zakładzie, aby

tylko robotę wykonać na czas. Podobnie było na innych wydziałach. I tu chyba przejawiała się praca partii, Komitetu Zakładowego.

R. Mańko: W tamtym okresie organizowane były kwartalne zebrania Oddziałowych Organizacji Partyjnych, na których można było się dowiedzieć o pracy KZ, każdy mógł się wypowiedzieć na interesujący go temat. Na tych zebraniach można było dowiedzieć się sporo o problematyce ekonomicznej, przedsiębiorstwa, sprawach gospodarczych, budowie i rozbudowie miasta i zakładu, sytuacji mieszkaniowej.

B. Ingłot: Ja w tamtych latach odpowiedzialny byłem za maszynistów do zakładu. Zadanie to ułatwiał mi wydane przez ministerstwo przemysłu maszynowego pozwolenie do wstępu i wglądu do ewidencji personalnych we wszystkich zakładach metalowych w Polsce. Tym sposobem miałem możliwość dotrzeć do najbardziej wartościowych ludzi. I koleś atmosfera wytworzona przez Komitet Zakładowy wokół WSK bardzo zachęcała do podejmowania u nas pracy. Dlatego w tamtych latach łatwiej było o dobrego

(Dokończenie na str. 3)



SPÓŁECZNY KOMITET ODNOWY ZABYTKÓW LUBLINA

WYTWÓRNI SPRZĘTU KOMUNIKACYJNEGO „PZL-ŚWIDNIK”

serdeczne podziękowania za wkład w dzieło odnowy zabytków Lublina i ratowanie bezcennych skarbow kultury narodowej.

Ważny udział w przywracaniu świetności lubelskim zabytkom, z myślą o zachowaniu ich dla siebie i historii zasługuje na najwyższe uznanie.

Jako współtwórcy tego dzieła zostali wpisani do HONOROWEJ KSIĘGI CZYNÓW ODNOWY ZABYTKÓW LUBLINA.

Z-ca Przewodniczącego
Spółecznego Komitetu Odnowy Zabytków
Lublin

Andrzej Szprinder

LUBLIN; 1986-08-04

St. Kucharuk: Tory nie dzielą!

(Dokończenie ze str. 1)

— Faktem jest, że mają wysokie wymagania. Wyższe niż gdzie indziej. Ale czy można mieć o to pretensje? Świadczy to o wysokim stopniu zorganizowania społeczeństwa.

● **Stwierdził pan na początku rozmowy, że miasto zawdzięcza Wytwórni wszystko. Poproszę o przykłady z ostatnich miesięcy.**

— Centrala telefoniczna na 1000 numerów. Do końca bieżącej 5-letki zakończy się realizacja 10-krotnie pojemniejszej. Wynika z tego, że niemal każda rodzina świdnicka posiadać będzie telefon. Dalej, ponad 20 milionów złotych na koniec budowy szóstego w mieście szkoły podstawowej. Ponad 250 milionów na koniec budowy domu kultury. Wszystkie te inwestycje powstają przy wsparciu załogi i Wytwórni. Dalej. Nie gdzie indziej jak w WSK — w lipcu tego roku — wicepremier Gorywoda przyrzekł zgodę na rozpoczęcie w pierwszych dniach września prac przy kanale sanitarnym Świdnik — Hajdów. Niedawno otrzymaliśmy oficjalne pismo w tej sprawie. Wykonawcami są EnergoPól i KPRInż. W ciągu 3 lat odprawimy z miasta wszystkie ścieki.

● **Wynika z tego, że zakład jest atutem w ręku naczelnika przy rozwiązywaniu problemów dla środowiska najtrudniejszych?**

— W Wytwórni, w której bywam zresztą przynajmniej raz w tygodniu, podjęta została niezliczona ilość decyzji i postanowień istotnych dla naszego środowiska. Świadczy to o autorytecie zarówno dyrektora jak i aktywów społeczno-politycznych. Tor kolejowy będący umowną granicą miasta i przedsiębiorstwa jak wiadać nie dzieli naszych interesów.

● **Liczba mieszkańców Świdnika rosła wraz z rozbudową załogi**

Wytwórni. Ludzie przybywali tu z różnych stron Polski. Czy można w tej sytuacji mówić o patriotyzmie lokalnym?

— Dobrze pojęty patriotyzm lokalny to wielka rzecz. Poprzez jego wypracowanie staramy się i będziemy to robić nadal wiązać mieszkańców z miastem. Czy są tego przykłady? Dni Świdnika, herb miasta. Czasami zazdroścę tym, którzy mogą pochwalić się historią swojego miasta. Nasza jest skromniejsza, chociaż... i tak bogatsza niż się może wydawać. Dlatego nosimy się z zamiarem zorganizowania sesji popularnonaukowej na temat historii naszych ziem. Zamierzamy również zwrócić się do katedry historii UMCS aby przydzielone zostały do opracowania tematy prac magisterskich z zakresu historii Świdnika. Najlepsze dowody, że do tej pory o naszym mieście ukazała się zaledwie jedna książka, autorstwa Władysława Myka. Nie ukrywam, że marzy mi się Towarzystwo Miłośników Miasta. Miasta, którego nie wyobrażam sobie bez orkiestry Maruszaka, zakładowego domu kultury czy meczu siatkówki w wykonaniu zawodników Avii.

Korzystając z okazji chciałbym złożyć gorące podziękowanie dla załogi WSK za ofiarną pracę przy realizacji zadań. Chcę podziękować za wyrozumiałość i pomoc w rozwiązywaniu najważniejszych problemów naszego środowiska. W przededniu jubileuszu życzę dyrekcji i załodze WSK aby jak najszybciej ruszyła seryjna produkcja „Sokoła”. Życzę aby WSK jak dotąd uzyskiwała wysokie wyniki w produkcji i działaniach na rzecz załogi i środowiska. Wszystkiego najlepszego.

rozm.: A. Kwiek

DUŻO ZA NAMI, DUŻO PRZED NAMI

(Dokończenie ze str. 1)

lat, trzeba podkreślić, że na te sukcesy złożyła się praca wielu ludzi oddanych bez reszty partii.

Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że organizacja partyjna skupiała i robi to nadal, najlepszych robotników, konstruktorów, technologów, techników i pracowników służb pomocniczych oraz administracji.

Dziś wielu z nich jest już na zasłużonym odpoczynku, wielu jeszcze pracuje, oddając wiedzę i doświadczenie społeczeństwu.

Nie sposób wymienić wszystkich nazwisk i wszystkich zadań. Jednak dodane do siebie, zsumowane, złożyły się na całokształt osiągnięć.

Pragnę wyrazić wdzięczność i uznanie tym towarzyszom, którzy w każdym okresie — nawet najtrudniejszym — nie zerwali związku z Partią. Nie ma powodu, aby mówić o tym co jest u nas dobre przemilczeć fakt, że nie wszyscy członkowie partii wytrzymali próby czasu w latach

1980-81. Był to okres najbardziej dla Partii bolesny. Działalności podjętej najpierw pod własnymi hasłami odnowy naszego życia, a następnie realizowanej poprzez frontalny atak na podstawowe założenia naszego ustroju, towarzyszył terror moralny i psychologiczny. W takiej atmosferze odeszło od nas wielu członków i kandydatów. Niektórzy z nich już wrócili, inni jeszcze rozważają decyzję powrotu.

Z satysfakcją chcę podkreślić, że pomimo trudnej sytuacji ekonomicznej, jeszcze nadal trudnych warunków życia, napływają do partii ludzie młodzi. Do tej partii, która w zakładzie, pracy ma do spełnienia niezmiennie ważne zadanie. Jest nim integrowanie załogi do realizacji zadań społeczno-gospodarczych wespół z Samorządem Pracowniczym i Związkami Zawodowymi.

Rola organizacji Partyjnej po X Zjeździe PZPR w tej działalności zespalającej, budującej porozumienie jest szczególna, pole-

ga na upowszechnianiu Programu Partii wśród społeczności zakładowej i wdrażaniu go na każdym zakładowym szczeblu. Będziemy tym zadaniom poświęcać w swojej działalności należyty uwagę.

Postępująca stabilizacja życia społeczno-politycznego pozwala na stwierdzenie, że załoga rozumie problemy ekonomiki i polityki dzisiejszego dnia, że zdaje sobie sprawę ze złożoności sytuacji panującej na świecie, w kraju, w regionie, a więc, że podola — jak już było nieraz, oczekującym nas zadaniom.

Partia zaś, stawia sobie za główny cel rozwiązywanie problemów nurtujących środowisko pracownicze.

Jednak musimy sobie zdać wspólnie sprawę z tego, że warunkiem realizacji wszystkich zadań jest wysoki stopień dyscypliny pracowniczej.

W tym względzie sporo jeszcze mamy do zrobienia.

Karol Szczotka

ŚMIGŁOWIEC „SOKÓŁ”



(Dokończenie ze str. 2)

Pracownicy dla zakładu. Ponadto potężnym współpracownikiem i sojusznikiem w robocie partyjnej i pracy KZ była organizacja młodzieżowa.

Red.: No właśnie, jak wyglądała współpraca KZ, całej zakładowej organizacji partyjnej z młodzieżą, z organizacją młodzieżową?

L. Nazaruk: W 1952 roku przeszedłem do pracy w ZMP, gdzie powierzono mi organizowanie świetlic w hotelach robotniczych i w ogóle życia organizacyjnego. Wtedy rzeczywiście organizacja młodzieżowa była bardzo prężna. Młodzi ludzie, tak samo jak obecnie, chętnie pracowali, udzielali się społecznie. Przewodniczącym ZZ ZMP był wtedy Ryszard Kleszcz. Poza tym w zarządzie byli Jerzy Pawłowski, Tadeusz Serwin. Z tymi ludźmi organizowaliśmy życie młodzieżowe w zakładzie i poza zakładem. W 1954 roku przeszedłem do pracy w Aeroklubie, gdzie zajmowałem się sprawami wychowania młodzieży. Wtedy każdy członek Aeroklubu musiał być aktywistą, dobrym pracownikiem.

R. Mańko: Moja działalność wśród młodzieży przypadała na trochę późniejszy okres. Miałem bowiem okazję uczestniczyć w or-

gany okresie widać było jakieś różnice zdań wśród tych ludzi, a jeśli tak, to w jaki sposób te różnice były łagodzone?

B. Ingłot: Pewne drobne różnice zdań na pewno były. Natomiast nigdy nie spotkałem się, żebyś kłótką przypomniał komuś, że pochodzi z tej czy innej organizacji partyjnej. Więcej, powiem, jeśli było coś do zrobienia, to wszyscy chętnie włączali się do pracy. Partyjni i bezpartyjni. Zresztą ja wcześniej byłem członkiem PPS.

L. Nazaruk: Mówiąc o sprzecznościach w partii trzeba raczej skupić się na sprawach ideologicznych i politycznych. Moim zdaniem tych sprzeczności w tamtym okresie było mniej niż obecnie. Kiedyś członkowie partii byli bardziej solidarni, bardziej skonsolidowani. Owszem, była ostra krytyka złej pracy, złego postępowania, ale konfliktów u nas w zakładzie nie było.

R. Mańko: Również nie słyszałem o konfliktach wśród członków partii. Zanim wstąpiłem do PZPR, a było to w 1956 roku, wcześniej jako członek organizacji młodzieżowej uczestniczyłem w zebraniach partyjnych. I pamiętam, że wszystkich towarzy-

szów w zakładzie wielu społeczników. Kim byli ci ludzie, co zrobili dla partii, co robili teraz?

B. Ingłot: W zakładzie i poza zakładem bardzo dużo zrobiono dzięki aktywowi partyjnemu. Organizacja partyjna zawsze skupiała wokół siebie zespoły ludzkie. Zakładowy aktyw partyjny społeczny, o czym już była mowa, pracował także w terenie przy tworzeniu wiejskich organizacji partyjnych. Mielismy w tej pracy spore zasługi.

L. Nazaruk: Kim byli ci ludzie? Najogólniej mówiąc pracownikami zakładu, młodymi robotnikami, inżynierami, Technikami. Droga do partii dla wszystkich jest zawsze otwarta. A co teraz robisz? Tak się składa, że jestem sekretarzem Terenowej Organizacji Partyjnej w Świdniku. Około 70 proc. członków tej organizacji to emerytowani pracownicy WSK. Byli działacze partyjni i społeczni. Ci ludzie teraz także pracują społecznie w związkach zawodowych, radzie narodowej, zespołach kontrolnych. Ale dzisiaj się o nich mało pamięta. A przecież ci ludzie poświęcili swoje życie partii, Polsce, pracy. Komitet Zakładowy partii i Komitet Miejski owszem pamięta. Ale podczas

się rozwijać dopiero po przyjeździe repatriantów z Francji i ZSRR.

L. Nazaruk: Z partią stykałem się w latach, kiedy jeszcze nie wiedziałem co to jest partia. W moim rodzinnym domu była mowa na ten temat jeszcze przed 39 rokiem. Po wyzwoleniu dowiedziałem się, że mój ojciec należał do KPP. W czasie wojny także stykałem się z partią. Należałem do ZWM. Do PZPR wstąpiłem w 1951 roku.

R. Mańko: Natomiast ja z partią zetknąłem się w okresie działalności w ZMP, w szkole śre-

niej, gdzie sprawy partii, znajomości statutu, założenia ideowe były bardzo popularne. Do PZPR wstąpiłem w czasie odbywania służby wojskowej, z rekomendacji ZMP. Może jeszcze przypomnę, że pracując już w WSK, jako jedyny z województwa lubelskiego uczestniczyłem w VII Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów w Austrii. Był to pierwszy Festiwal zorganizowany w kraju kapitalistycznym.

Red.: Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: A. ŁYSAKOWSKI

ŁUDZIE 35-lecia

Na samym szczycie praca

Zwyczaj trudno mi znaleźć trochę czasu na rozmowę o swoich latach pracy. Dobrze więc, że jestem na urlopie, to możemy sobie porozmawiać bez ciągłego spoglądania na zegarek — powiedział RYSZARD TARACHA.

W młodości lotnictwo nie śniło mu się po nocach, we krwi nie miał pociągu do latania, a wręcz przeciwnie, wspomnienia o lotnictwie z czasów wojny nie należały do miłych. Sam nie należał do ludzi spokojnych, bo takie są prawa młodości, ale w pewnej chwili młody człowiek zaczyna sobie zdawać sprawę, że zaczyna odpowiadać za siebie, pracę, rodzinę. W pierwszych latach pracy, za trzy dni nieobecności, „zarobił” naginę i to była doskonała lekcja wychowania.



— Zrozumiałem — wspomina R. Taracha — że nie ma żartów. Praca, uważana początkowo za taką jak każda inna, zaczęła mnie wciągać. Praw natury nie da się zmienić. Jeżeli człowiek nie pruje nie może godziwie żyć. Pewne podstawy trzeba sobie wypracować, od początku.

Zaczęłem 17 listopada 1951 roku w wydziale 44, jako traser przy wykonywaniu oprzyrządowania do produkcji skrzydeł samolotu MiG. Na omias na szkoleniu w Mielcu byłem już jako planista. O tego momentu zaczyna się mój awans zawodowy, bo pracę społeczną traktowałem jako „lękę” do intelektualnego wyższości. Nie mogę powiedzieć, że lata pracy to jedno wielkie pasmo sukcesów. Faktycznie, do 1970 roku pełniłem funkcje kierownicze, począwszy od kierownika sekcji planowania poprzez dział kontroli, aż do kierownika wydziału 610. Tutaj powstał konflikt kierownik — koletyw. Ponieważ mam charakter autokratyczny, ktoś musiał ustąpić. Przeszedłem do działu konstrukcyjnego w pionie TM. Zabrakło mi jednak produkcji, jej specyfiki. Poprzez W-360, następnie produkcję lodówek, planowanie operatywne trafiłem na stanowisko dyrektora d/s produkcji. Kandydatów z podobnymi umiejętnościami

było kilku. Zwyciężyło chyba produkcyjne przygotowanie do pełnienia tej funkcji.

Z perspektyw lat najmniej wspominać pracę w wydziale 340, choć trudno było kierować pięsetosobową załogą. Byli to ludzie o ogromnych umiejętnościach zawodowych, wspaniali łachowcy, potrafiący zrobić wszystko. Człowiek się jak w rodzinie, bo oni mi autentycznie pomagali. Ile razy bez przymusu pracowali po godzinach! „Nie po to przyniosłem kanapkę, by iść do domu” — odpowiadał, gdy mówiłem, że nie muszą zostać. Oni sami wiedzieli, że jest taka potrzeba. Szuki kierownika zespołami ludzkimi oraz sterowania produkcją uczyłem się od mojego pierwszego kierownika ZBYSZKA KODŁUBAJA. Cechowało go upodobanie tego co robi. Podobnie jak mistrzów z warsztatu, byłych pracowników LWS i PWS DEJNEKA, KOZAKA czy CHYLEWICZA. Oni się nie oszczędzali.

Diabli mnie biorą, gdy słyszę, że ktoś w zakładzie stracił zdrowie. Wyeksploatowanie się jest rzeczą normalną, tylko natura jednemu dała lepsze, innym gorsze zdrowie. Nie jest więc trudne przeanalizowanie swoich możliwości, a praw przyrody — jak powiedziałem — nie da się oszukać. Pozostaje więc praca i takie podejście do niej, by cel był jasny i przejrzysty, a osiągnięcie go możliwe.

— Mnie nigdy nie wystarczała praca zawodowa. Obok niej była zawsze działalność społeczna w ZHP, ZMS, a od 1963 roku w PZPR. Pasją w działaniu był i jest nadal sport. Pełnię funkcję członka Zarządu Avii i opiekuna klubu z ramienia dyrekcji. Nie odniosłem w niej wielkich sukcesów, gdyż zawsze uważałem, że na samym szczycie hierarchii ważności musi być praca zawodowa. Obok niej dom, rodzina, a czas wolny, który pozostaje można przeznaczyć na pasję. Do tego musi być odpowiedni klimat, a mnie pomagała go stworzyć żona, która podobnie jak ja nie uznawała kompromisów.

— Zdałem sobie sprawę, że funkcja dyrektora nie jest dożywotnią. Jeżeli nim kiedyś przestanę być, jeżeli wrócić do planowania operacyjnego produkcji i włączyć się do prac zmierzających do automatyzacji procesów planowania. W tej chwili trwają przygotowania do uruchomienia produkcji serijnej Sokoła i Kani, a nowość wciąga. Powstają nowe problemy w zarządzaniu, nakłada się problem braku odpowiedniej ilości wykwalifikowanych pracowników. Forma organizacyjna produkcji z podziałem gniazd przedmiotowych na brygady zdaje się być odpowiednią. Potrzebna jest jednak wielozawodowość, pracownicy muszą umieć obsługiwać kilka obrabiarek. Trzeba jednak pamiętać, że ludzkie charaktery są barierą w zarządzaniu. Nie wolno też uprzedzać się do nikogo. Wyznaczać i konsekwencją są drogą do osiągnięcia celu. Zawsze uważałem, że trzeba dać coś z siebie. Nie można przejść przez życie obok niego, nie będąc zauważalnym...

(as)

PRACOWAŁA CAŁA ORGANIZACJA PARTYJNA

organizowaniu koła ZMS w wydziale ekspedycji śmigłowca. A od 1959 roku przeszedłem do pracy w Komitecie Zakładowym ZMS. Tak to się wtedy nazywało. W tamtych czasach działalność ZMS sprowadzała się do spraw produkcyjnych, bytowych i wychowawczych. Organizowaliśmy socjalistyczne współzawodnictwo pracy, w którego regulaminie bardzo ostro stawiane były sprawy wykonania zadań, podnoszenia kwalifikacji i racjonalizacji. Za pieniądze uzyskiwane ze współzawodnictwa organizowane były wycieczki, zbiorowy wypoczynek, wyjazdy do kin, teatrów. Do naszych zadań należało rozwijanie czytelnictwa, oszczędności, popularyzowanie idei spółdzielczości mieszkaniowej. Rozwój świdnickiej Spółdzielni Mieszkaniowej uależniony był od ilości członków. Z tych obowiązków członkowie ZMS, a szczególnie młodzi członkowie partii byli bardzo szczególnie rozliczani. Z okazji 20-lecia PRL, Komitet Centralny ZMS zainicjował czyn produkcyjny. Nasza młodzież wykonała wtedy produkcję na wartość 30 mln zł. W dowód uznania dla naszej pracy, sekretarz KC PZPR, Edward Ochab zaprosił do siebie dziesięcioposobową grupę aktywistów z WSK. Trzeba jednak przyznać, że pomoc KZ i OOP była w tym okresie znacząca.

Red.: Jak towarzyszący wiadomo, partia tworzyła się w zakładzie w 2 lata po Kongresie Zjednoczeniowym. Mielście więc w swoich szeregach byłych członków PPR i PPS. Czy w począt-

szczy rozliczano jednakowo z ich pracy.

Red.: Czym partia zajmowała się w tamtym okresie? Czy podobnie jak obecnie interesowała się problemami gospodarczymi, produkcją, postępem organizacyjno-technicznym?

B. Ingłot: Tak, z tym że zajmowała się także sprawami osobistymi ludzi pracy, ich bolączkami, kłopotami. No i oczywiście w miarę możliwości do końca. Podobnie jak obecnie nie unikaliśmy trudnych spraw.

R. Mańko: Dostyc często o pomocy do partii zwracała się młodzież. W początkowym okresie były kłopoty z rozliczaniem współzawodnictwa pracy. Partia pomogła nam ten problem załatwić. Za sprawą partii rozwiązano też problem racjonalizacji. Młodzi ludzie z warsztatu mieli interesujące rozwiązania techniczne, ciekawe pomysły racjonalizatorskie, ale nie potrafili tego rozrysować, nanieść na papier. Szukali pomocy i znajdowali ją w Zakładowym Klubie Techniki i Racjonalizacji.

Red.: Z jakimi sprawami, problemami przechodzili ludzie do partii, do KZ?

B. Ingłot: Z różnymi, z tym, że najmniej przychodziło do nas członkowie partii. Pracowałem w Komitecie ponad 13 lat. Dostyc często można było usłyszeć takie zdanie: A ja wybrałem właśnie partię, bo jeśli wy mi nie pomożecie, to znaczy, że już nie mam gdzie iść.

Red.: Oprócz funkcyjnych pracowników KZ, dla partii pracowało

dzielenia funduszu zakładowego o nich zapomniano.

Red.: Jaka była towarzysze ważna droga do WSK?

B. Ingłot: Prosta. Zakład potrzebował ludzi i wszyscy się tu garnęli. Byłem przy okazji w Ministerstwie Przemysłu Maszynowego. Tam mi powiedzieli, że w Świdniku jest robota. Tam trzeba jechać. Więc przyjechałem tu. Świdnik wtedy tak wyglądał, że postanowiłem, iż po miesiącu, jak tylko wezmę pensję, wyjadę stąd. Jednak zostałem.

L. Nazaruk: A mnie wezwano do Komitetu Miejskiego w Białej Podlaskiej, gdzie powiedziano mi, że mam jechać do Świdnika. A gdzie ten Świdnik jest — zapytałem. Wtedy Stanisław Palonka, ówczesny kierownik kadr w WSK powiedział, że mnie zawiezie samochodem. Następnego dnia byłem już w Świdniku. Chciałem stąd uciekać już na trzeci dzień.

R. Mańko: Ja trafiłem tu po wojsku. Służyłem w lotnictwie. Taka praca mnie interesowała, więc przyszedłem do WSK.

Red.: Co was skłoniło do wstąpienia w szeregi partii, z którą związani jesteście do tej pory? W jaki sposób zetknęliście się z partią po raz pierwszy?

B. Ingłot: Z partią zetknąłem się po raz pierwszy w okresie okupacji. Już wtedy pracowałem na rzecz partii, ale w jej szeregi wstąpiłem dopiero po wyzwoleniu. Pracowałem wtedy w przemyśle węglowym na Śląsku. Tam PPS była bardzo prężna. PPR na tamtym terenie na dobre zaczęła

ŚMIGŁOWIEC MI-2



W 1951 roku do powstającego zakładu trafiło ich niewiele. Z zasady z nakazu pracy, choć byli i takie, które przyszły tu same poszukiwać pracy. Wspominając tamte czasy, uśmiechają się do wspomnień. Trudno powiedzieć, co je tu trzymało. Bo przecież nie warunki pracy, bioto po kolana, sparińskie warunki w hotelach. Wspólna zabawa w świetlicy utworzonej w baraku, z trudem zdobyty telefon i parę płyt rekompensowało codzienne troski. Związywały się pierwsze sympatie, rosła młoda społeczność.

Dla nas — mówią — najważniejsze było to, co robiliśmy — każdy nowy produkt, każde osiągnięcie długo wspólnie przeżywałyśmy. To, że pracowało się bez przerwy po 52 godziny, nie miało znaczenia. Praca dyktowała nam zajęcia. To, co było wspólne, to radość tworzenia — łączyła nas zawsze.

STEFANIA GWIAZDA, DANUTA JARECKA, KRYSZYNA KNAPIŃSKA, JADWIGA WOJTCOWICZ, ALINA BAK, ANTONINA PAKOS, JANINA GONTARZ — do dziś pracujące w zakładzie kobiecy, jego bramy przekroczyły w 1951 roku. Inne zakończyły już zawodową działalność. Coraz trudniej dotrzeć do pierwszych pracownic, nie wszystkie, z różnych względów, chcą wspominać przepracowane w zakładzie lata.

Bez względu jednak na dalsze losy, każda z nich, często przez łzy — mówi — niech pani napisze, że to były wspaniałe, uroczne lata i wcale nie dlatego, że my byłyśmy młode, ale że łączyła nas chęć tworzenia, budowania lepszego jutra — my wierzyłyśmy, że będzie lepiej!

NA DOBRY DZIEŃ CZEKAŁA 20 LAT

Kiedy piłyśmy herbatę, do drzwi pani JANINY WINIARCZYK zapukał listonosz.



— O o moja emerytura — powiedziała i rozłożyła na stole niewiele ponad 8 tysięcy złotych.

— Gdyby mąż nie pracował nie byłoby mi lekko żyć — dodała i uśmiechnęła się.

Twarz Janiny Winiarczyk rozjaśnia się, gdy pytam ją o taki dzień w pracy, który utkwił w jej pamięci szczególnie.

— Jest taki dzień, ale... pracowałam na niego 20 lat! Przez ten czas zajmowałam się pracą w zespołach dziecięcych w Zakładowym Domu Kultury. Mielśmy 400 osobową grupę dzieci. Dużo popularnością cieszył się Dziecięcy Zespół Pieśni i Tańca liczący 100 dzieci! Musi pani wiedzieć, że praca z taką ilością młodzieży w wieku 7-14 lat nie była łatwa. A jednak efekty były widoczne.

To był właśnie ten dzień... Na naszej scenie w całej okazałości pokazał się ten piękny dziecięcy zespół rozśpiewany i roztańczony. Łzy i śmiech mieszały się na przemian. Sala wypełniona po brzegi. Nie mogło być inaczej! To przecież nasze kochane dzieci! Godzinny program doceniony został brawami, i pozostanie na długo w pamięci. Pani Górowa, założycielka tego zespołu, pani Fabiańska i pan Drożdżowski — to postaci związane nierozłącznie z moją pracą. Byli to wspaniali ludzie. Oddani pracy bez granic. Tworzyliśmy ro-

MÓWIĄ KOBIECY

Wspólne wspomnienia

dzinę. Choć problemów nie brakowało, nigdy nie było napięć, starć czy kłótni. To my, dorosli tworzyliśmy atmosferę. To od nas zależało czy dzieci chętnie przychodzą na zajęcia. Dziś, kiedy spojrzą „swoje” dorosłe już dzieci na ulicy, lubię porozmawiać, ale rzadko się zdarza by temat dotyczył „lamiych” dni. To wszystko ulega zapomnieniu, zbyt wiele spraw składa się na codzienne życie, by mieć czas na wspomnienia. O! Chyba w takiej chwili jak ta!

Pozostaje mi tylko żal, że nie mogę dziś pracować z młodzieżą. A może to i lepiej, przecież są ludzie młodszy, lepsi — pani Janina uśmiecha się, a w oczach kłębią się łzy. Ale i ona ma już inne sprawy na głowie. Dorosłe dzieci, kochane wnuki i działka — miejsce do zasłużonego odpoczynku.

— Ale i tam nie posiedzę — dodaje — dla mnie ruch to życie. Tak już musi być...

Tu trzeba pomagać innym

Pani doktor Teresa Strońska pracuje w Przychodni Przyzakładowej WSK od 1959 roku. Aktualnie jest kierownikiem gabinetu stomatologicznego.



Jej osobisty urok, którym urzeka każdego to nie pozory. I ja rozmowę z nią musiałam zacząć od tego.

— Muszę być pogodna, uśmiechnięta — mówi. Każdy bez wyjątku, kto przekracza próg gabinetu stomatologicznego jest „spięty” i zdenerwowany. Moim obowiązkiem jest wprowadzić pacjenta w stan rozluźnienia i odprężenia psychicznego. Z natury jestem osobą towarzyską, lubię kontakty z ludźmi, dlatego to mi się udaje.

— Jak zachowują się na fotelach dyktorzy? Są bardzo bojaźliwi! Poza tym nigdy nie mają czasu na systematyczne leczenie zębów. Dla nich trzeba mieć szczególnie dużo cierpliwości...

Saram cie swoich osobistych spraw i problemów, które nam przecież jak każdy człowiek — nie „przenosić” do pracy. Tu nie ma czasu na myślenie o sobie. Tu trzeba myśleć i pomagać innym. Takie jest moje posłanie...

A pacjenci bywali różni. Nowe! babcia, która po 20 latach przyszła, by zmienić protezę, którą jej zakładaliśmy, powiedziała mi, że przez ten cały czas modliła się za mnie i za to, co dla niej zrobiłam. Chciałam i chcę pracować dobrze. W każdej pracy jest to bardzo ważne. A w mojej szczególnie, bo chodzi o zdrowie.

— A jakie były początki mojej pracy?

Ten okres wydaje mi się bliski, ale to już 27 lat! Do pracy przyjmował mnie kierownik przychodni dr Górny. Wspaniały człowiek, łachowiec i organizator. To on sprawił, że szybko zaaklimatyzowałam się w nowym środowisku i polubiłam swoją pracę. A nie było to łatwe. Brak sprzętu, personelu i podstawowych urządzeń utrudniał pracę. Mimo to było nam dobrze. Jak w prawdziwej rodzinie. Byliśmy rozumiani i my rozumieliśmy istniejące potrzeby.

Nikt na nie nie narzekał. Miałam świadomość, że można pomóc drugiemu człowiekowi — satysfakcja z własnej pracy. To pomagało.

Jako pierwszy stomatolog pracowałam na nożnej maszynie stomatologicznej, która dziś stanowi zabytek. Przychodnia jednak szybko „rosła w siłę”. Powstawały gabinety, przybywało sprzętu, powiększył się personel.

Dużym przeżyciem był dla mnie dzień, kiedy dostrzeżono mój wysiłek, moją pracę w zakładzie i odznaczono mnie Krzyżem 30-lecia PRL, a potem Srebrnym Krzyżem Zasługi. To nie jest łatwe do opowiedzenia, ale to się na swój sposób przeżywa.

Pół mojego życia i całą młodzież spędziłam tu. Nie żałuję tego. Ale chyba dopiero teraz „o czuję”...

ALFREDA KULIŃSKA — Takich wspomnień jest wiele. Trudno zdecydować, które utkwiło mi w pamięci najbardziej. Wszystkie były ważne. Chyba jednak zdecydowanie największych przeżyć dostarczył mi pierwszy lot śmigłowca Mi-2. Ten pierwszy lot to rezultat olbrzymiego wysiłku wielu ludzi i mojego również, nie mógł pozostać obojętny.

Ważnym pierwszym zebrałem, nad pierwszym statecznikiem, który nie chciał się kleić, wylałam morze łez. Przecież wtedy wszyscy razem uczymy się tego, dla wielu nieznanego lotnictwa. A więc tej radości towarzyszącej pierwszemu lotowi śmigłowca nie sposób opisać.



Zawodowy życiorys Alfredy Kulińskiej jest może trochę nieoczekiwany, choć ona sama nie widzi w tym nic nadzwyczajnego.

Rodowita lublinianka, zaraz po ukończeniu gimnazjum technologiczno-chemicznego, trafiła do zakładu jak większość w tym okresie, z nakazu pracy. Zgodnie z zawodem i z własnego wyboru zdecydowała się na pracę przy produkcji. Dwa lata była technikiem na galvanizerni. Później przeszła do pracy, również jako technolog na nowo powstałym wydziale, łopat. Była brigadzistką, później mistrzem. Szef w spódnicy, czyli po prostu szefowa mówiła o niej pracownicy.

26-letnia kobieta tylko sobie znanymi sposobami dawała sobie radę z 41-osobową brigadą mężczyzn. Co najważniejsze, nigdy nie używała mocnych słów i mocnych trunków.

Choć trudno było oprzeć sprawę o bufet, do dziś, gdy zjawia się na wydziale, nieliczna już grupa pracowników wita ją serdecznie.

Alfreda Kulińska 7 lat pracowała jako mistrz. — To nie był łatwy okres — wspomina — ale i tak sympatyczny. Pracowało się po dwie doby, nie wychadząc z zakładu. Ile to razy, na koniec roku w sukience balowej zdawałam ostatnie sztuki. Wtedy nie było dyskusji, dyrektor, częsty gość na produkcji, karał z całego serca, ale trzeba przyznać, że

umiał też docenić i nagrodzić wysiłek.

Jako mistrz rozpoczął studia ekonomiczne w Krakowie. Ukończył je i zmienił pracę. Zgodnie z nowym zawodem, pracowałam w środku kooperacji branżowej motocykla, później w eksporcie, inwestycjach, a teraz jak specjalista do spraw materiałowych.

Tamte pierwsze lata były wspaniałe, miały niezapomnianą i niepowtarzalną atmosferę. Byłam dumna, gdy kierownik minując mnie na mistrza stwierdził: mało w tobie cech kobiecych, zostań na produkcji. Choć za chwilę, przy okazji dzielenia premii, dyrektor produkcji zdziwił się głośno — Jak to możliwe, baba ma najwięcej?

WYPLAKAŁAM PRZYDZIAŁ PRACY!

— Teraz będziemy malować korytarz — informuje pani Maria Skowronek malarz.



— Tylko proszę o jasny kolor, w przedszkolu muszą być ładne pomieszczenia.

Mimo urlopu dyrektorka przedszkola codziennie sprawdza jak przebiega remont. 1 września przedszkole musi lśnić czystością.

Pani Maria Skowronek pracuje z dziećmi już 34 lata. Uczestniczyła w uroczystym przekazaniu pierwszego zakładowego przedszkola.

— Oddanie przedszkola — wspomina — to było wielkie święto. Uczestniczył sekretarz komitetu zakładowego. Cieszyliśmy się wszyscy. Przecież to była pierwsza placówka socjalna jaką przekazano dla nowego osiedla. Co prawda była ona przedszkolem zakładowym, ale wtedy wszystko było zakładowe i dla pracowników zakładu przeznaczone. Pamiętam swoich pierwszych wychowanków. Dzisiaj to już dorośli ludzie, wielu z nich pozostało w mieście i pracuje w zakładzie. Jest mi przyjemnie, gdy przyprowadzają do mojego przedszkola dzieci. Nie tylko ja, ale wszystkie koleżanki, nazywamy je swo-

imi wnukami. No cóż, przecież to dzieci naszych wychowanków. Pracowałyśmy w innych warunkach. Przede wszystkim dłuższym wymiarze czasu i gępy też były liczebniejsze. W mojej było ponad 50 dzieci. Do momentu oddania żłobka, do przedszkola kierowano wszystkie dzieci wymagające opieki. Najmłodszy wychowanek nie miał nawet 2 lat.

To były wspaniałe czasy. Nie zapomnę jak zorganizowałyśmy zabawę, z której dochód, aż 15 tysięcy złotych, przetranszowałyśmy na zakup zabawek. Jaka to była frajda dla nas dorosłych, trudno sobie wyobrazić.

Lubię swoją pracę, nigdy nie żałowałam ani wyboru zawodu, ani miasta. Zresztą miasto i miejsce pracy to ja właściwie wyplakałam. Kończyłam w Lublinie szkołę dla wychowawczyń przedszkoli i otrzymałam nakaz pracy pod Chełmem. Ponieważ mieszałam w Świdniku Dużym, zabrała mi na pracę w Świdniku. No i wyplakałam tu przydział pracy.

WIARA DOBREJ PRACY

Bo ja taka jestem — nie umiem się kłócić, nie lubię zawiści, nie dostrzegam, dokuczania sobie nawzajem. Lubię zyciową atmosferę i spokój. A to wszystko zależy od nas — powiedziała pani NATALIA FIRLEJ pracująca w WSK od 1984 roku, jako pakowaczka na Wydziale Komplektacji i Ekspedycji. Moje ręce — proszę pani — pracowały w tym zakładzie 30 lat! Przeżyłam tu różne chwile. Były łzy. Była też radość, bo był taki dzień w moim życiu...

Nie lubię się chwalić, ale o tym muszę pani powiedzieć. Kiedy na pierś w 1976 roku powieszono mi Złoty Krzyż Zasługi — byłam wtedy taka „duża” i „bogata”. Byłam taka szczęśliwa, że nie potrafiłam tego nazwać! Wo wprost nie do wiary, że ktoś o mnie myślał. Pani Natalia rozplakała się, ale była to łza szczęścia...

Na inne nie pozwoliłabym.

Ze zmęczonych oczu wycisłał można było, że nie obce jej były przeciwności losu, ciężka praca i wiele matczyńskich trosk. A szczególnie i uczciwe słowa kierowane tylko do mnie powodowały drżenie kącików warg i smutek na twarzy.

— Kocham ludzi, kontakt z nimi daje mi radość życia. Moja „wielka” rola to przekazywanie najcenniejszych uwag młodym, którzy rozpoczynają właśnie pracę. Myślałam zawsze, że będę miała trudności dojść z nimi do porozumienia. Jest zupełnie inaczej. Oni nazywają mnie „babcią”. Dla mnie praca w kolektywie to rzecz bardzo ważna. Tu „ścierają” się różne charaktery, poglądy. Tu są młodzi i starzy.

Ale to wszystko jest nasze! Chciałabym tu jeszcze długo popracować. Nie wyobrażam sobie stać odejść — pani Natalia zadrzymuje wzrok na obolanych nogach. Muszę już iść, dziś mam drugą zmianę dodaje i żegna się ze mną jakbyśmy znali się wiele lat...

Taka już jestem — powiada... rozn. B. Wróbel, I. Wierchoś

JELCZ — CHŁODNIA





KOCHAŁ, ALBO RZUC!

Świdnicki śmigłowiec Mi-2 produkowany jest w kilku wersjach. Z nich to wynikała zastosowania tego statku powietrznego do wykonywania różnych, czasami dość nietypowych zadań. O niektórych pisaliśmy i to niedawno, o innych opowiadają piloci:

STANISŁAW KASPEREK: w Egipcie wiozłem śmigłowcem do oazy Siwa, pamiętającej jeszcze czasy Aleksandra Macedońskiego czy królowej Kleopatry, ministra rolnictwa. W państwie, gdzie do dzisiaj istnieje podział na kasty, chciano szczególnie uhonorować przedstawiciela władzy i wnętrza śmigłowca, po wyszczeni złotymi kapami, zamieniono niemal na kapliczkę. Trasę prawie 300 kilometrów w głąb pustyni przebyliśmy bez kłopotów, a w oazie odbyło się uroczyste powitanie, a potem kolacja. Po poczęstunku zebrałem z resztkami jedzenia i podano je czekającym przed namiotami. To był dla nich wielki zaskoczenie, dla nas zaskoczenie ich obyczajami.

Utrudnieniem dla żeglugi na Nilu są hiacynty, które zakrywają lustro wody. Taki pływający dywan ma około 1,5 metra grubości i można po nim chodzić. Środek, który był rozpylany ze śmigłowca powodował natychmiastowe obumieranie kwiatów i opadanie ich na dno. Warunki do latania były bardzo trudne. Nadzy tubylcy, o raczej niezbyt przyjaznym nastawieniu, w rzecze krokodyły, do najbliższego miasta — 400 km. Lądowisko było na pomoście tak

MIEDZY NIEBEM A ZIEMIĄ

małym, że „grabię” wystawiały poza jego obrys. Pewnego razu jakiś statek uszkodził je.

W Sudanie natomiast śmigłowcem walczymy z ptakami wielkości naszych szpaków. Rozpalałem nad ich kolonią środek paraliżujący układ nerwowy, ale zanim zaczął on działać podrywałem się do lotu i zderzały ze śmigłowcem. Szyby były pokryte mięsem, piórami i krwią tych żarłocznych ptaków. Tubylcy je zbierali i konsumowali. Nas też próbowano nimi częstować. Dodatkowym utrudnieniem było latanie tuż przed zachodem słońca, gdy ptaki wracały z żeru. Zmrok zapadał tam bardzo szybko, a znalezienie lądowiska w nocy było trudne. Obyło się bez większych przygód.

ZZISŁAW CHYLINSKI: Zmora Afryki jest szarańcza. Środek rozpylany ze śmigłowca jest bardzo skuteczny, a owady giną natychmiast. Szarańcza nawleczona na trawę sprzedają później na targach w Kamerunie i Nigerii. Niektórzy twierdzą, że samice z jajami, w smaku przypominają kawior.

Wiozłem też ekipę, która w miejscu wylęgu znaczyła szarańczę farbami odbijającymi fale radiowe. Później można było obserwować na ekranie radaru migrację chmur tych owadów, a dzięki temu walka z nimi stawała się łatwiejsza. Wędrująca chmura szarańczy latała nawet na wysokości do 1600 metrów.

TADEUSZ GÓRA: W Libii byłem szefem personelu latającego i pewnego razu zwrócił się do mnie Arab z prośbą o przewiezienie do Trypolisu dwóch osób. Nie byłem bardzo zadowolony ponieważ naszym zadaniem było szkolenie pilotów, ale jednak zgodziłem się. Nie polecałem ja, leż z kolegą. Dowiedziałem się, że ma po nich wylądować na placu, a więc chyba jakieś ważne osobistości — pomyślałem. Gdy śmigłowiec wylądował, faktycznie na

pokład ładują dwóch pasażerów, ale... w trumnach. Coż było robić, trzeba było przewieźć pasażerów.

Rozbił się samolot, zginął uczeń — pilot. Trzeba było znaleźć miejsce katastrofy. Około 23.00 rozpoczęliśmy poszukiwania. Zabrałem na pokład Araba, który znał język angielski i polcieliśmy. Wiedziałem z którego kierunku nadlatywał samolot i to, że 30 kilometrów przed lotniskiem urwała się łączność. Ładujemy przy pierwszym napotkaniu ogniska i pytamy koczowników czy widzieli ogromny błysk. Odpowiadają, że tak i pokazują kierunek. Lecimy w tym kierunku, po drodze spotykamy następne ogniska. Przy czwartym dowiadujemy się, że błysk był już blisko. Samolotu nie znalazłem, ale jedynie dół po uderzeniu. Szczątki porozrzucone były w promieniu 200 metrów.

Wiozłem też chorych do szpitala w Zilten. Lot był normalny, ale lądowanie raczej nie. Najpierw musiałem obniżyć wysokość w zawisie, później przemieścić się pod drutami i dopiero lądować. Po tym moim pierwszym lądowaniu zdjęto te druty i powstało lądowisko bardzo dobrze spełniające swoją funkcję, a do szpitala było tylko 60 metrów.

HENRYK JAWORSKI: w Nara-mowicach i Pieskoszowie pokrywałem okna szklarni cienką warstwą emulsji do bieleńcia, chroniącą wnętrza przed słońcem. Śmigłowcem wykonywałem też usługę w ciągu pół godziny, a metodą tradycyjną — miotłą moczoną w emulsji — trzeba było wykonać kilka dni. Ta druga szklarnia znajduje się w głównym kierunku wiatrów od cementowni, które nanoszą na szkło pył cementowy. Ze śmigłowca rozpylane są detergenty do zmniejszenia cementu. Później jest on zmywany ręcznie wodą. Próby mycia ze śmigłowca nie dawały dobrych wyników.

Chroniliśmy też sady przed przymrozkami. Śmigłowiec lecący nad kwitnącymi drzewami wleciał ciepłe powietrze i temperatura podniosła się o 2 lub 3 stopnie, a to wystarczyło by uchronić kwiat przed przemarzeniem.

TADEUSZ ZACH: na pokładzie śmigłowca zainstalowano aparat termowizyjny do celów przy-

myslowych. Leciłem 15 metrów od linii wysokiego napięcia, a w tym czasie przedstawiciel szwedzkiej firmy AGA kontrolował stan przewodów energetycznych. Aparatura okazała się niezawodna, bezbłędnie znajdowała uszkodzenia. Skończyło się tylko na tym locie, gdyż cena jej zakupu była bardzo wysoka. Obecnie kontrole odbywają się metodą tradycyjną — przy pomocy wzroku pracowników Zakładu Energetycznego.

Podczas zimy „stulecia”, pewnej niedzieli zostałem wezwany do zakładu. Na zimowisku nad jeziorcem Piaseczno marzyłem. Nie było prądu, zabrakło paliwa do agregatu prądowozowego. Na pokład śmigłowca załadowano artykuły żywnościowe, kanistry z paliwem. Wsiadłem też lekarz. Wystartowałem przy wietrze wiejącym z prędkością do 19 m/s. z powrotem wiozłem dzieci. Nad Piaseczno latałem kilka razy. Innej możliwości dotarcia na zimowisko nie było, gdyż drogi były zawiane. Tę samą zimą pomiędzy Krasnkiem a Opolem znalazłem zasypany piłem wirnikowy, a na trasie Lublin — Krasnik odspawany przez żołnierzy polską osobowy. Tej zimy także koludzy latali patrolować drogi Lubelszczyzny.

W Egipcie zwalczałem komary. Były ich ogromne ilości. Sciany oblepiały tak szczelnie, że nie było widać nawet jej koloru. W czasie oprysku miejscowa ludność na dachy lepianki wynosiła cały swój dobytek, a także dzieci, żeby ich nie zalała woda. Widok był dość zabawny. Byli też tacy tubylcy, którzy podczas oprysków pół bawelną rzucali kamieniami do śmigłowców. Bardzo niebezpieczne były palmy, pomiędzy którymi rozciągnięte druty. Palmy te rosły na polach uprawnych. Pewnego razu śmigłowcem zerwałem takie przewody. Maszynie i mnie nic się nie stało.

W dziesięciu elektrowniach Polski przekryśliłyśmy hałdy popiołów. Ciężko tworzy powłokę, która przepuszcza jedynie wodę i wilgoć, a nie dopuszcza do roznoszenia przez wiatr popiołów. Latanie ze względu na teren jest bardzo trudne, a ciężko trzeba wylać około 2 ton na hektar. Dla porównania — przy opryskach stosuje się dawki od 5 do 100 litrów na hektar.

CZESŁAW DYZMA: amerykańsko-angielska spółka kręciła film „For your eyes only” z Rogerem

Moorem w roli głównej. Sceny filmów tej spółki cieszyły się ogromną popularnością, gdyż mało w nich trików, a zdjęcia kręcone były w najoryginalniejszych miejscach świata. Tym razem wylądował na Meteorze w Grecji. Światło oznacza — las gór. Woda w płukaku dość skał i powstała ogromna chęć, a jeden z nich niedostępny. Można się tam dostać w koszu wyciąganym kołowratem lub... śmigłowcem. Długo zastanawiałem się dlaczego wynajęli Mi-2? Przecież jest tyle innych śmigłowców.

Po wylądowaniu w Grecji na wyspie Korfu na pokład wsiadł reżyser, asystentka, dyktant i lecieliśmy popatrzeć na Meteor. Wtedy usłyszałem pytanie: „Widz orientuje się, że to śmigłowiec wschodni?” „A po chwili powiedział — „oczywiście, że tak”. Wszystko było jasne do końca, dopiero po zapoznaniu się z tym filmem. Bohater James Bond zabrał aparat do wykrywania łodzi podwodnych i uciekł go na tej nieodostępnej skałę. O miejscu przechowywania urządzenia dowiedzieli się wywiad wschodni. Wiozłem wywiadowcę Gogola i jego żonę, niestety na tę skałę. Po wylądowaniu uciął on zabrał amerykański aparat, lecz ten zabrał go ze skały.

Zdjęcia trwały dwa tygodnie, spółka charter ten kosztował ponad 20 tysięcy dolarów. Zobaczyłem jak kręci się film i podziwiałem ich wspaniałą organizację pracy. Poza tym, by nie podnieść niepotrzebnie kosztów, w znak rozpoznawczych śmigłowca małono litery S na cyfrę 8. Nawet nie próbowano go przemalować.

Przez dwa miesiące latałem w dużej i wszędzie. Śmigłowiec był wykorzystywany do szybkiego serwisu kombajnów „Bizon”. Wzięciem części zamiennej i mechaników na pole. W tym państwie przepisy lotnicze faktycznie nie miały znaczenia, co nie oznacza, że są liberalne. W czasie lotów z widzialnością ziemi nie trzeba było zawiadomienia zamawiającego. Została, nie ma nawet takich ludzi. Pilot otrzymuje mapę Danii, a na niej zaznaczono wszystko to, co jest potrzebne do lotów VFR, czyli z widzialnością ziemi. Może to tak wreszcie u nas...

Zebrał: A. Siepiński

PASJE

KOLEKCYJERSKIE ZAMIŁOWANIA

Wśród ponad trzydziestutysięcznej rzeszy osób zbierających znaczki pocztowe w Polsce znajduje się grupa 260 filatelistów ze Świdnika, zrzeszonych w Kościele nr 9 Polskiego Związku Filatelistycznego.

Utworzenie koła było, dla osób zajmujących się kolekcjonerstwem, koniecznością, głównie ze względu na większą możliwość zaopatrzenia się w materiały filatelistyczne: znaczki czyste i kasowe, całostki w postaci kart pocztowych i kopert oraz kopert FDC (pierwszego dnia obiegu) a także choćby w karty wystawowe i tak zwane hawdy oraz szereg innych, możliwości kontaktu, wymiany walorów.

Filatelistyka. Nazwę stworzył zbieracz francuski Herpin w 1864 roku z dwóch wyrazów greckich: philin — lubie i ateia — zwolnienie od opłaty. Z dwóch wyrazów powstał jeden — „filatelia”. Znaczenie pocztowy. Druk ścisłego zarachowania w postaci naklejek, wydany oraz wprowadzony do obiegu względnie i sprzedany przez uprawnioną władzę w danym czasie i na danym obszarze do zarządzania przedsiębiorstwem pocztu służący tylko za dowód uiszczenia opłaty za świadczenia objęte świadczenia pocztowe... (Prof. Stanisław Mikstejn)

Świdnickie koło powstało 3 lutego 1960 roku, jako sekcja filatelistyczna przy Zakładowym Domu Kultury WSK. Z dziesięcioosobowej grupy zakładającej koło do chwili obecnej działają: Władimir Czyżewski, Władimir Nastaj, Mieczysław Zieliński i Henryk Ziolkowski. Pierwsze lata pracy nie należały do najłatwiejszych, lecz z czasem działalność krzepła, zaczęto nawiązywać kontakty z innymi kołami, przygotowywać się do zaprezentowania

swojej działalności, dorobku filatelistycznego szerszej rzeszy odbiorców.

W czasie trwania w Świdniku (23-24 lutego 1963 rok) „Pierwszych Zimowych Zawodów Samolotowych Ziemi Lubelskiej” Zarząd koła uruchomił stempel okolicznościowy i zorganizował pocztę samolotową do miejscowości, które były siedzibami aeroklubów, z których piloci brali udział w zawodach.

Najstarszy list pochodzi z okresu 2400 lat p.n.e., a za jego ojczyznę należy uważać Egipt. Przewożeniem listów zajmowała się właśnie poczta, początkowo piesza. Z czasem zaczęto używać koni, wielbłądów, mułów, góleb i jaskółek. Technika przewozu rozwijała się jednak szybko. Poczta korzysta obecnie ze wszystkich nowoczesnych środków lokomocji.

Pierwsze urządzenie pocztowe w Polsce zawiązały Zygmuntowi Augustowi, który 18 października 1558 roku mianował Prospera Prowane przełożonym poczty oraz zobowiązał go do uruchomienia regularnej poczty między Krakowem a Wenecją.

W 1964 roku obchodzono jubileusz powstania PRL. Członkowie koła biorą udział w imprezach zorganizowanych na terenie Świdnika dla uczczenia tego święta. Projektują stempel okolicznościowy z napisem „Pokaży lotnicze z okazji XX-lecia PRL. Świdnik 8.09.1964”. Działają też poczta harcerska stemplująca korespondencję. Dużym osiągnięciem był zorganizowany „I Pokaz Znaczków Pocztowych”. W następnym roku przypadła rocznica X-lecia powstania przemysłu śmigłowcowego w Polsce. Z tej okazji zarząd uruchamia kolejny datownik okolicznościowy.

(Dokończenie na str. 7)

TRYPTYK O SKRZYDLATYCH

(Dokończenie ze str. 5)

przez Litwę i Szwecję, a po kapitulacji Francji, wraz z innymi chęćmi walczącymi patriotami, ewakuował się do Anglii. W krótkim czasie, bo zaledwie w trzy tygodnie po przybyciu na Wyspy Brytyjskie, trafił do angielskiej jednostki lotniczej i po równie krótkim przeszkoleniu, zaczął latać bojowo.

„Hurricane”, „Spitfire”, „Mustang” — to kolejne przesłanki na coraz doskonalsze samoloty myśliwskie, już w polskim dwyzwójce 316. Zapisał wówczas w swym dzienniku pilota intensywnie loty na różne, ale zawsze jednakowo trudne i niebezpieczne zadania. Wojnę zakończył Tadeusz Góra w stopniu polskiego porucznika i angielskiego kapitana, z licznymi odznaczeniami, wśród których nie brakło i Virtuti Militari. W oficjalnym rejestrze zwycięstw polskich pilotów myśliwskich, oficer z numerem ewidencyjnym P2290 — por. pil. Góra, zajmuje pozycję w połowie tabeli, z bilansem zestrzałów nieprzajacielskich samolotów w układzie: jeden pewny, dwa prawdopodobne i jeden uszkodzony.

— A wie pan o czym wtedy marzyłem? — zakończył swe wojenne wspomnienia. — Żeby odpocząć w spokojnym locie szybowcowym. Uszyść zamiast jagoty dzialek i karabinów maszynowych, ten charakterystyczny poszum skrzydeł szymbowa Brakowało mi tego tam w Anglii...

Wrócił do kraju w 1948 roku, do umiłowanego szybownictwa. Najpierw jako instruktor w górskiej szkole szybowcowej na Żarze, potem jako pilot doświadczalny w Instytucie Szybownict-

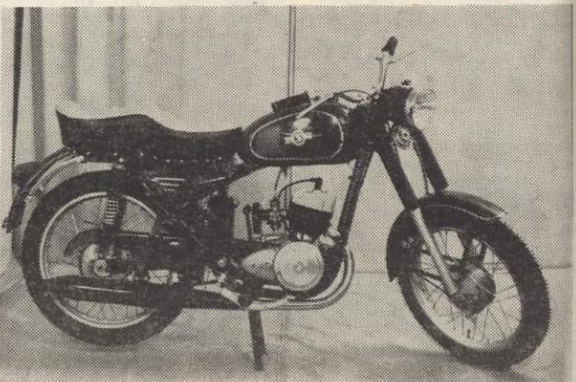
wa w Bielsku, a następnie znowu podjął szkolenie w Aeroklubie Bielsko-Bialskim. W 1957 roku T. Góra ponownie przywdział mundur oficera lotnictwa, ale już z dystynkcjami kapitana i nosił go przez następnych piętnaście lat. Został pilotem samolotów MiG-15 i MiG-17, latał też na nadźwiękowych MiG-19. Był instruktorem i dowódcą. Nadszedł jednak dzień, kiedy po wypadku samolotu odrzutowego, w którym dzięki mistrzowskiemu opanowaniu... szybowcowego lądowania uratował życie, podpułkownik Góra odszedł do rezerwy. Nie oznaczało to dla niego bynajmniej o-

dejścia z lotnictwa, bo właśnie wtedy zdecydował, że trzeba spróbować... pilotażu śmigłowców. I tak znalazł się w Świdniku.

Skrzydlate losy trzech różnych ludzi, z różnych dziedzin, ba, z różnych lotnictwa, złączają lotniczy zakład. Każdy z nich zostawił w nim część swego aktywnego życia ku chwale polskich skrzydeł. Tak właśnie rodzi się historia, złożona z pasji tworzenia czegoś nie tylko dla siebie, ale i dla potomności.

TADEUSZ CHWAŁCZYK

MOTOCYKL WSK-125



RODZINA W ZAKŁADZIE



W obecna pozycję WSK w re-
mencie i kraju zapracowało wielu
ludzi. Nie sposób wymienić wszy-
stkich. Nierzadko znaczącą rolę
w zakładzie odegrały całe rodziny
i wśród nich są między innymi
państwo Lorkowie i ich
rodzina.

Władysław Lork: Mój związek
z zakładem trwa od 1 września
1950 roku. Przyjechałem tu po
ukończeniu szkoły średniej we
Wrocławiu, gdzie zdobyłem za-
tytuł spawalnika. Najpierw pra-
cowałem jako technolog w wy-
dziale 42, po czym przeniosłem
się do działu głównego metalur-
gii. Przeszedłem tu wszystkie
szczeble kariery zawodowej, a od
maja 1982 roku jestem
głównym metalurgiem. Pracując
w tym dziale skończyłem studia
WSL.

Ze spawalnictwem od początku
związałem w przedsiębiorstwie du-
żo nadziei. I chyba słusznie. W
pierwszych latach stosowane by-
ły przede wszystkim różne spawa-
nie acetylenowo-tlenowe. Tym
czasem łączono były części do
samolotów MiG-15. W śmigłow-
cach SM-1 cała kratownica spawa-
na była gazowo. Ale dopiero
dzięki uruchomieniu produkcji
śmigłowca Mi-2 radykalnie uno-
szenie zostały procesy spawa-
nicze. Wprowadziliśmy nowo-

czesną metodę zgrzewania durali,
dzięki czemu w znacznym stop-
niu udało się nam wyeliminować
dosyć uciążliwe nitowanie. W
tamtych okresie na szeroką skalę
wprowadziliśmy spawanie elekt-
tryczne w osłonie argonu.

Te sposoby łączenia metalu spotka-
ły się z olbrzymim zainteresowaniem.
Organizowane przez nas kursy nauki
spawania miały takie powodzenie, że
w pewnym okresie istniało nawet
powiedzenie, że WSK jest kuźnią
spawaczy dla Lubelszczyzny.

Moja trzydziestoletnia praca
nie sprowadzała się naturalnie tylko
do spawalnictwa. Brałem też udział
przy unowocześnianiu obróbki ciepl-
nej, uczestniczyłem w prowadzeniu
badani nie niszczących. Ten sposób
sprawdzania części pozwala na do-
kładne zbadanie bez konieczności ich
niszczenia. Do takich metod należa-
ły między innymi badania magnetyczne,
bardzo rzadko stosowane poza lotni-
ctwem, badania rentgenowskie stoso-
wane do wykrywania wad wewnętrz-
nych elementów spawanych, zgrzewa-
nych, a nawet klejonych. Prowadzi-
my też badania ultradźwiękowe łop-
at i rełsów.

A co poza pracą zawodową?
Sporo czasu zajmuje mi działal-
ność w KTHR w zakładzie i ZW,
SIMP, partii. Wielką pasją całej
rodziny jest turystyka.

Janina Lork: — żona: Z WSK
związana jestem od stycznia 1952
roku, i także początkowo pra-
cowałam na wydziale 42, gdzie po-
znaliśmy się z mężem. Przez jak-
iś czas pracowałam w archiwum
wydziałowym, a od czternastu
lat pracuję w Centralnej Wypożyc-
zalni Narzędzi i Przyrządów.
Przez tych bez mała 35 lat bar-
dzo dużo zmieniło się w zakła-
dzie, no i oczywiście w moim ży-
ciu. Przybyło nam tyle pięknych
hal fabrycznych, nowoczesnych
maszyn, o których wtedy nikt
nawet nie słyszał. A jak zmieni-
ło się moje życie? Chyba na le-
piej. Pamiętam, że jak pobraliśmy
się, to wszystkie meble kupowa-
liśmy na raty. Z czasem kupi-
liśmy sobie wygodną pralkę, maszy-
nę do szycia. Później przyszedł
czas na telewizor czarno-biały, a
trochę później na kolorowy, pra-

kę automatyczną i samochód,
którym objechaliśmy chyba całą
Polskę. Nie mogę powiedzieć, że
przychodziło nam to łatwo.

Barbara Lork-Rojek — córka:
Od najmłodszych lat myślałam,
że zostanę nauczycielką. W po-
łowie studiów uniwersyteckich na
UMCS, gdzie studiowałam mate-
matykę, zmieniłam zdanie i za-
interesowałam się informatyką.
Na pewno jakiś wpływ na zmianę
moich życiowych planów wywarła
atmosfera w domu. Rodzice
bardzo często rozmawiali o WSK.
I chyba dzięki tym wszystkim o-
kolicznościom w 1977 roku, już
jako magister matematyki zna-
lazłam się w zakładzie. I muszę
powiedzieć, że miałam wtedy spo-
ro szczęścia. W TONS było wolne
miejsce. Pracowałam wtedy tu-
taj 30 osób, w tym dwie kobiet-
ty.

Pierwsze obliczenia do progra-
mów sterujących robiliśmy na
„Odrze”, natomiast programy pi-
sane były ręcznie. W 1977 roku
dostaliśmy pierwszy komputer
Olivetti. A więc od początku mia-
łam okazję pracować z kompute-
rami. Moją pierwszą samodziel-
ną pracą było napisanie progra-
mu na „Odrze”, opisującego geo-
metrię na dwiżgience do „Sokoła-
1”. Po raz pierwszy zetknęłam
się wtedy z rysunkiem technicz-
nym, narzędziami i obrabiarkami.
Między innymi brałam też udział
przy uruchomieniu produkcji
„Sokoła”, części Ila-86 i innych
wyrobów.

Odkąd nasz dział podzielono na
biuro technologiczne i biuro obliczeń,
którym od półtora roku kieruję, do
naszych obowiązków należy przygo-
towanie nośników informacji dla
OSN-ów, przetwarzanie danych otrzy-
mywanych z dokumentacji technolo-
gicznej. Zajmujemy się tworzeniem
oprogramowania wspomagającego pra-
cę konstruktora i technologa. W na-
szej pracy korzystamy także z opra-
gramowania na komputerze „Odra”.

Moja praca nie jest chyba dla mnie
tylko zawodem. W pewnym sensie
jest to moja pasja. Dlatego ta pro-

blematyka interesuje się prawie na
co dzień.

Ewa Lork-Gańska — młodsza
córka: Dla mnie teraz najwaz-
niejszy jest dług oczekiwany
syn — Filip. Ma dwa miesiące,
chowa mi się dobrze, a w ogóle
jest bardzo fajny i miły.

Pyta pan jak trafiłam do WSK
Prawdę mówiąc, to już w szkole pod-
stawowej wiedziałam, że na dużej
zwiąże się z przemysłem, bo posta-
nowiłam skończyć technikum mecha-
niczne, i tak się stało. Do WSK
przyszłam siedem lat temu. Od po-
czątku pracuję w dziale głównego
technologia. I tu muszę się pochwa-
lić, że na opanowanie podstaw swo-
jego zawodu potrzebowałam chy-
ba niewiele czasu, bo pierwszą tech-
nologię opracowałam już po mie-
siącu pracy w TT. Ale największą
satisfakcją dała mi praca przy uru-
chamianiu obrabiarek sterowanych
numerycznie na wydziale 340. Wtedy
siostra Barbara sporo mi pomogła.
Jej znajomość komputerów bardzo
się przydała.

Gerard Gański — zięć: Z ro-
dziną państwa Lorków związany
jestem od osmiu lat. W WSK
pracuję także moi rodzice. A ja
pracuję w wytwórni od jesieni

1976 roku, to jest po skończeniu
szkoły średniej. Trafiłem wtedy
do wydziału 620, gdzie produk-
owane były chłodnie do samo-
chodów star i jelic. Później tro-
chę pracowałem w dziale doku-
mentacji technicznej, a od skoń-
czenia studiów w dziale ekspor-
tu.

Czy ułożyło mi się życie? Chy-
ba tak. Praca mi odpowiada. Od
trzech lat mamy własne miesz-
kanie. A propos, pracę dyplomo-
wą broniłmśmy razem z żoną te-
go samego dnia, około godziny
ósmej rano, a o szesnastej tego
dnia dostaliśmy klucze do wła-
snego mieszkania. Był to prze-
sympatyczny zbieg okoliczności.
Aż trudno chyba uwierzyć.

Wracając do pracy, to prawdę
mówiąc, kiedyś w młodości ma-
rzyła mi się praca przy samolo-
tach. Stało się inaczej. Chociaż
pracując w WSK trudno nie mieć
do czynienia z lotnictwem. Dla-
tego mimo wszystko mogę powie-
dzieć, że życiowe plany mi się
spełniły. Do pełni szczęścia bra-
kuje mi chyba tylko samochodu.

Notował: A. ŁYSAKOWSKI

Krzyżówka z szyfrem

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
A	1																
B																	
C																	
D																	
E																	
F																	
G																	
H																	
I																	
J																	
K																	
L																	
M																	
N																	
O																	
P																	

KOLEKCJONERSKIE ZAMIŁOWANIA

(Dokończenie ze str. 6)

W następnych latach organizuje
się szereg imprez, a wśród
nich: I Wystawa Filatelistyczna
okazji 1000-lecia Państwa Pol-
skiego, II Pokaz Filatelistycz-
ny dla uczczenia Dnia Znaczką i
Krajowych Zawodów Śmigło-
wych. Wszystkie wystawy
zasiły się, ze względu na swój
charakter i prezentowane zbiory,
głównym powodzeniem i to nie
tylko mieszkańców Świdnika.

Wraz z latami działalność, w-
zrostem liczby członków koła,
zwiększała się ilość zorganizowanych
poczty i wystaw filatelistycznych.
W 1971 roku członkowie koła
organizowali w Domu Technika
w Lublinie stoisko pocztowe,
nie stempelowano przesyłki po-
zostaw kasownikiem „Technika
Śmigłowca w kraju i na świe-
cie”. W tym roku przypadło też
do kolekcjonowania WSK i XV-
lecia Świdnika, upamiętnione
w Wystawą Filatelistyczną.
Świdnik 71”.

Lata 1975-78 zaznaczyły się lek-
kim regresem w działalności ko-
ła. Gwałtownie zmalała liczba
członków. Pomimo takiego stanu
zorganizowano pokaz filatelistycz-
ny upamiętniający XXV-lecie
Wytwórni. Dodatkowo tę roczni-
cę upamiętnili kasowniki okolicz-
nościowy. Podobne w charakte-
rze były imprezy z okazji XXV-
lecia Świdnika.

W tym roku przypada XXXV-
lecie powstania naszej Wytwór-
ni i kolejne Święto Lotnictwa.
Koło PZF nie zapomniało o tych
uroczystościach. Korespondencje
stemplowane będą okoliczności-
owym stemplem projektu Józefa
Wróńskiego (wykonał ich dla ko-
ła kilkanaście). Natomiast w stoi-
sku zorganizowanym na boisku
Avii sprzedawane też będą karty
z okolicznościowym nadrukiem:
Święto Lotnictwa. Świdnik '86.
Część dochodu ze sprzedaży prze-
kazana zostanie na konto budo-
wy Domu Kultury.

Propagowanie filatelistyki i po-

pularyzowanie zbiorów możliwe
jest w zasadzie dzięki wysta-
wom. Ich organizowanie sprawia
wiele kłopotów: brakuje gablot,
a głównie kart wystawowych i
dlatego należy podkreślić wysi-



łek grona osób, dających do szer-
okiego rozprowadzania filatel-
istyki. Do niego należą: Czesław
Banach, Tadeusz Gierszon, Zdzisław
Grzyb, Zdzisław Kardasie-

POZIOMO: 1) w poprzek drogi, 6)
chwała polny używany jako ziarno, 10)
elektryk, 11) plak z rzędu dzieciolow-
nych, zamieszkuje Australię, 12) syn
Zeusa i Antiope, brat Amfiona, 13)
między posilkami, 14) taniec, 15) na-
razu handlowy, 16) druk wydany w
okresie 1581 — 1590 r., 21) —a gre-
czy, 24) był nim Sabała, 27) widlak
goźdździ, 28) odbiór bodźców przez
receptory skóry, 29) drukarska miara
papieru, 30) papieskie wzgórze rzym-
skie, 31) świt, 34) jadro sprawy, 36)
zakątek, 42) esej, 43) skala osadowa
złożona głównie z chalcodonu, 44)
...lontu poprzedza eksplozję, 45) plak
wodny z rzędu chalcodonu, 46) kafa-
nik kobiecy, 47) podziw futrem
noszony w XVII-XVIII wieku, 47)
pierwiastek, 48) pracownik krajajni,
49) odmiana czerwieni.

PIONOWO: 1) fortele, 2) ścinak, 3) na-

wóz naturalny, 4) na poduszkę, 5)
antonim nieba, 6) pogromca tygry-
sów, 7) cukierkowy przysmak wscho-
dni, 8) do łączenia za pomocą nitów,
9) żeniec, 17) linie z wynikami, 18)
...reczna, 19) dawniej wytapiano w niej
żelazo, 20) strój, 23) parkowy krzew
ozdobny, 23) angielska jednostka ma-
sy, 25) zamieszkuje daleką Syberię,
26) w piecu, 31) sienkiewiczowski
smek, 32) coś na ząb, 33) naturalna
woda mineralna nasycona CO₂ i so-
lami mineralnymi, 35) dykta, 36) u-
piększa, 37) przerwa w teatrze, 39)
marny piłkarz, 40) Pablo Picasso, 41)
dobra każdemu potrzebna.

Litery z następujących pól utwo-
rzą aktualne hasło — rozwiązanie za-
dania:
(E16-C4-P6-M4-N2-H10-L16-) (E7-N3-A17)
(N4-G2-M3-F3-N13-A15-J3-E4-B7) (P4-F12)
-G12-B9-J6-L12-N14-D11-A3-J14).

ŚMIGŁOWIEC SM-2



Twórcą znaczka pocztowego
był James Chalmers, drukarz
z Dundee. 6 maja 1840 roku
wydano i wprowadzono do o-
biegu pierwszy znaczek z po-
dobizną królowej Wiktorii.
Pierwszy znaczek Polski u-
kazał się w obiegu 1 stycznia
1860 roku. Najrzadszym zna-
czkiem świata jest jedyny zna-
ny egzemplarz znaczka Guja-
ny Brytyjskiej wartości 1
centa, w kolorze czerwonym,
oceniany na ponad milion dol-
arów. „Rarytasami” są tak-
żone „znaczki misjonarskie”
z lat 1851-1852 z Hawajów. Z
rzadkości europejskich na
pierwszym miejscu należy
wymienić pierwszy znaczek szwe-
dzki 3 skilling — banco, w
kolorze żółtym. W Polsce rzad-
kością jest 10-koronówka z
tzw. „wydania krakowskiego”
z nadrukiem typograficznym
czarnym. Znaczki jest jedy-
nie 15 sztuk.

wicz, Jan Krawczyk, Tadeusz
Marczuk, Wojciech Polak, Marian
Rejmak, Barbara Skwara i Ma-
rianna Winiarczyk.

(as)

TEMATYCZNA WIRÓWKA

ANAGRAMOWA

Należy odgadnąć znaczenie wyrazów
następnie przeanagramować je tak,
by powstało 6 słów, których zna-
czenie podajemy w kolejności dowolnej.

1) broń ręczna nakładana na palec,
2) miejscowość w woj. poznańskim
ze znaną przetwórnia owocowo-wa-
rzynną, 3) kojarzyła małżeństwa, 4)
fizyk irlandzki, laureat Nagrody No-
bla, 5) jedna z elektrod, 6) członek
wysokorosłego ludu murzyńskiego z
dorzecza Nilu.

ZNACZENIA ANAGRAMÓW:

— koło sterowe, — amerykański sa-
molet wojskowy z okresu II wojny
światowej, — „powietrzny napedzany
silnikiem — najprostszszy samolot
sterowany balansem ciała pilota —
doborowa wśród startujących w sa-
molotowych mistrzostwach świata, —
pilot.

Autor zadań:

BOGUSŁAW GWIAZDOWICZ



TRZECH W BLASKU ZŁOTA

W połowie sierpnia w siatkarskim światku obowiązywało hasło: „wszystkie drogi prowadzą do Olsztyna”. Tam, dzięki inicjatywie i uporowi red. Wojciecha Zielińskiego z redakcji sportowej telewizji, wyznaczili sobie spotkanie po latach podopieczni Huberta Wagnera, siatkarscy mistrzowie świata i Olimpiady. W ich gronie znaleźli się oczywiście dwaj zawodnicy, którzy przed dziesięcioma laty występowali w żółto-niebieskich kostiumach Avii — Tomasz Wójtowicz i Lech Łasko.

Pożegnalny mecz mistrzów z aktualną reprezentacją kraju wyznaczono na godzinę szesnastą 13 sierpnia. Była to szczęśliwa „13”!

Zanim jednak rozpoczęły się sportowe emocje prawie pięćdziesięcioletnia, „nabita” do ostatnich granic widowiska oklaskiwano rozgrywkę „skłaniano” z udziałem Koman Bandu, Mortaleświ, lubelskiej Fiesty i znanego pirata, kulomioty, aktora i satyryka Władysława Komara.

W kulminacyjnym momencie imprezy w olsztyńskiej hali sportowej wygasty siatkarze i w blasku fajerwerków pojawili się kolejno bohaterowie wieczoru. Kolejno, zgodnie z meksykańską i montrealską numeracją na koszulkach. Rundę honorową każdego z zawodników opatrzyli celną, krótką charakterystyką spiker zawodów. Mogli być oczywiście tylko głównym pomysłodawcą spotkania, zaprzyjaźnionym z zawodnikami Wojciechem Zielińskim, Suo! komentarz prowadził w sposób oryginalny, a zarazem wzruszający. Gdy już na parkiecie znalazła się w komplecie cudowna piętnastka wraz z trenerem, podano im mikrofon aby przemówili do kibiców. Każda wypowiedź kwitowała burza brawo. A potem zaczęło...

W trakcie przedmeczowej rozgrzewki na specjalnym ekranie przypomniano kibicom fragmenty zwycięskich spotkań z czeszczyńskich z mistrzostw świata w Meksyku. Mało kto jednak kierował oczy w stronę ekranu magnetydów. Większość nie odrywała choćby na moment wzroku od rozgrzewających się mistrzów, chcąc po raz ostatni nacieszyć oczy widokiem drużyny, która jak chyba żadna inna w historii polskiego sportu — może z wyjątkiem srebrnej jedenastki Górskiego z Monachium — potrafiła sobie zaskarbić powszechną sympatię kibiców. Z rozgrzewki odnotujemy jeszcze, że dwaj nasi, Wójtowicz i Łasko odbyli piłkę wspólnie. Niby drobna a cieszy. Zawsze to jakiś tam skromny świadek akcent tego meczu.

Wagner nigdy nie lubił przegranych. Mimo, iż przed tym historycznym meczem zawodnicy byli na wspólnym treningu zaledwie przez godzinę, rozpoczęli grę „zeleną” szatką ze Skorkiem, Wójtowiczem, Stefanikiem, Rybaczewskim, Boskiem i Gwolińskim. Ta sama, która przed 10 laty zyskała miano mistrzów świata, tego sata, rzuciła na kolana cały siatkarski świat, zdobyła — zapowiedziane wcześniej — olimpijskie złoto.

Półki się starzyło, złośliwsza to pierwszemu sata, „stary” pokazali, że mimo upływu lat wciąż pamiętają o co w nowoczesnej statkowie chodzi. Wygrali do 11 pierwszą partię a sposób jej zakończenia na długo utkwił w pamięci obserwatorów tego spektaklu. Przy stanie 14:11 Gościński ze Skorkiem zaprezentowali sztuczkę, która kiedyś opracowali dla amerykańskiej widowni w czasach występów w zawodowym siatkarskim cyрку. „Stanley” zamarkował upadek i w momencie kiedy piłka dotykała już prawie parkietu wystawił ją idealnie wsiadającemu już nad siatką „Szabli”, który mówiąc językiem statkarskim „zabił gwóźdź” w parkiecie. Zadenemu z zawodników stojących po drugiej stronie statki nie przyszło nawet do głowy aby skoczyć do bloku. A byli to... aktualni reprezentanci Polski. Stał z szeroko otwartymi oczami nie bardzo wiedząc co jest grane.

Po zmianie stron z każdą następną piłką sata zwycięstwa przechyliła się coraz bardziej na stronę młodych, którzy ostatecznie wygrali dwie kolejne partie do 2 i 3. Nie o wynik jednak tutaj chodziło. Po raz pierwszy i ostatni w życiu miałem chyba też okazję zobaczyć reprezentację narodową... wygryzającą walek wsiadającemu. Tym razem sympatia widowni była po stronie przeciwników. Zastąpił ją nią.

ŚMIGŁOWIEC SM-1



sia. Ja dodatkowo mam kłopoty po skęceniu nogi. Miałem nawet przerwy w treningach. No ale nie zagrać w takim meczu?!...

● Jedno z zagrań Gościńska wzbudziło aplauz widowni. Jak się ono fachowo nazywa? — Wystawa w kołyszce.

● A teraz mniej dyskretnie: Tomasz Wójtowicz w cywilu?

— Mieszkam z żoną Barbarą i córką w Parmie. Asia ma już 6 lat i mówi jednakowo dobrze po polsku i po włosku. Z tym, że w domu rozmawiamy wyłącznie po polsku. Mieszkam? Cztery pokoje, 2 balkony, trzecie piętro. Razem 100 metrów kwadratowych. Aha, jest jeszcze czwarty domownik. Doberman. W garażu? Ford Sierra Combi 2300. Diesel.

● Plany bliższe i dalsze?

— Do końca sierpnia będę w Polsce. Prawdopodobnie nad jeziorem Piaseczno. Z początkiem września wracam do Włoch bo

hala uznawana była — obok andrychowskiej — za najtrudniejszą w lidze. Najlepsza publiczność, wspaniały doping. Wygraliśmy ze wszystkimi...

Bydgoszcz. Stary Rynek. Trzeba ominąć Trybunał i skrócić w lewo. W Jezuićką. Numer 5. To tu. Kręte schody prowadzą na I piętro. Drzwi na wprost schodów.

— Tata jeszcze nie wrócił z pracy. Proszę wejść. Zaraz powinni być.

Jest chwila czasu aby przejrzeć dwie z trzech zawodniczych książeczek mistrza. Jedna jest w mieszkaniu matki. Pierwszy zapis. Cztery walki w juniorach. Wszystkie wygrane. Nr 5 to Walczak z Warszawy. Wygrana na punkty. Wygrał potem jeszcze 208 razy. Z tego większość przez 14 lat występów w Avii. Ostatnia walka nosi numer 251. Przeciwi-



w pierwszych dniach października startuje trwająca tam aż 10 miesięcy liga; z tym, że gra się tam jeden mecz tygodniowo. Kontrakt kończy mi się za dwa lata. Już go nie odnowię. Wracam do kraju. Czy będę trenerem? U nas trzeba mieć „papier” na trenera. Na razie ich nie mam więc... zobaczmy. A póki co proszę pozdrowić kibiców w Świdniku! Do zobaczenia!

Lech Łasko:

— Po wyjeździe z kraju przed rokiem podpisałem kontrakt z I-ligowym włoskim Vimerate; zespołem z miasta położonego niedaleko Mediolanu. W kadzie drużyny mieliśmy tylko 7 zawodników... spaliśmy z I ligi. Oprócz mnie gra jeszcze jeden cudzoziemiec — Amerykanin, były reprezentant USA. We Włoszech będę grał jeszcze tylko przez jeden sezon. Mam kłopoty zdrowotne. Głównie z kolanami. „Wychodzi” kilkanaście lat treningów i gry.

Szkoda, że do meczu nie mogliśmy przygotować się bardziej starannie. Moglibyśmy powalczyć z kadra „na poważnie”. Mało dziś grałem? Dziesięć lat temu na finał w Montreale wyszła ta sama szóstka co dzisiaj. Tamta wygrała a żaden trener nie zmienił zwycięskiej drużyny... To był w końcu mecz pokazowy. Zresztą ja, najmłodszy wtedy w kadzie przyjeżdżałem się do roli rezerwowego. Zawsze w cieniu Tomka? No cóż. Był największym talentem siatkarskim wszechczasów. Najlepszy blok, najlepszy atak, najlepsza praca nadgarstka, warunki fizyczne. Ja, do tego wszystkiego musiałem dobrać pracę...

Wspomnienia?... Siedem długich lat grałem w Gwardii we Wrocławiu. Teraz kilkanaście miesięcy we Włoszech... Niech pan mi wierzy. To już nigdy potem nie było TO! Przecież to Świdnika

tam też Waldek Kowalski i miesiąc później spotkali się w... Avii. Która walka trudniejsza? Którą wspominać mo woli... Tak. Z Turkiem tarem. Tę z Rzymu. Tę najniejszą. Nie była może nasza, ale była największym zwycięstwem. I sukcesem. Z Kowalskim walczeli trzy razy. Wszyscy jedyński przegrał. Raz chyba słusznie. W Mielecu. Parę lat później w ringu, może więc swoje zdanie na ten temat. W Mielecu chyba wygrał. W mina też Kozłika z Bydgoszczy. Przegrał z nim przed czasem swoim rodzinnym mieście. „dał” potem za to rywalowi w więzku w Lublinie. Tak, w Lublinie, bo Świdnicka hala nie miała wtedy jeszcze wszystkich potrzebnych obejrzenia meczu.

Wynikami Avii, owszem, resuje się. Jak może być inaczej skoro sam przez kilkanaście lat zakładał żółtą koszulkę i niebieskie spodenki. Wczoraj wieczorem oglądał w telewizji polską mecz siatkarski z Włochami w Łasko. Rodzina też kawał, co ze szkołą boksera

Piaskach. Był jej współorganizatorem. Prowadził treningi z młodzieżą.

Przez 13 lat był w kadze narodowej. Co roku na grupowaniu w Cetniewie. Chyba dlatego nie jeździł na wczasy nad morze. Woli jeziora. I koniecznie z wędką. Wtedy wypoczywa. Pracuje w Bydgoskiej Fabryce Kabli. Na narzeka na robotę. Ze sportu wyprowadził skończył, ale startów w spartakiadzie zakładowej. Baga. Koledzy pamiętają, że był w sporcie kimś.

Poza tym? Czas leci. Dzieci rosną. Niedawno chłopak z włoską wrócił. Co chce dodać? Nie. Wszystko zostało już napisane. Piętnaście lat temu. Kiedy walczyl. Wygrywał. Prosi, żeby uścisnąć Mieczysława Kruka. I Edka Dziadziurę. Do dziś pamięta spotkanie z młodzieżą w Hrubieszowie. To Edka rodzinne strony. Był tam na spotkaniu z młodzieżą. We trzech. Edzio, Jurek Wiater i on. Ale Edek wtedy „bajersował” kibiców!

Aha! Pozdrowienia dla „Zem” Bondarenki i pana Madeja. I dla wszystkich kibiców i przyjaciół w Świdniku. Chyba miał takich. I ma nadal. Czy przyjdzie do Świdnika? Nie był od siedmiu lat... Na pewno przyjdzie. Kiedy? Przy okazji...

Tekst Andrzej Kwiek
Fot. „PS” Janusz Szewiński

„Głos Świdnika” — Tygodnik Wytwórni Sprzetu Komunikacyjnego w Świdniku. Redaguje zespół w składzie: JERZY JURAK (redaktor naczelny), ANDRZEJ KWIEK, MIECZYSLAW KRUK (redaktor techniczny), ADAM ŁYSAKOWSKI, ANDRZEJ SIEMIAK, IRENA WIERZCHOS (sekretarz redakcji), BOŻENA WRÓBEL. Adres redakcji: 21-400 Świdnik, ul. Przemysłowa 8, tel. centrala 123-61 (wewn. ed. 51-51 i 53-57), rozgłosni 51-52. Druk: Drukarnia zakładowa WSK „PZL-Świdnik”, Świdnik, ul. Przemysłowa 1, — zam. 1400 z dnia 1988.08.22 — 3.000 szt. F-4

Redaktor dyżurny w nadchodzącym tygodniu — IRENA WIERZCHOS